

Powstańcze relacje świadków

Wojenne wspomnienia Leona Kopelmana



Leon Kopelman
ur. 26.04.1924 r w Warszawie
ocalony z getta warszawskiego
żołnierz-ochotnik batalionu "Zośka"
zgrupowania AK "Radosław"

Zapraszamy do poznania wojennych wspomnień Leona Kopelmana. Warszawiak z urodzenia, przeżył piekło warszawskiego getta. W pierwszych dniach sierpnia 1944 został wyzwolony z Gęsiówki przez żołnierzy batalionu "Zośka". Jako ochotnik przeszedł z bronią w rękę szlak bojowy zgrupowania "Radosław" ze Starego Miasta na Czerniaków. Po wyzwoleniu w 1945 r. wraz z kolegą wyjechał do starożytnej kolebki swojego narodu - Palestyny.

Okupacja, getto

Urodziłem się w Warszawie w 1924 r. Rodzice moi przede mną mieli córkę Gutę, ur. 27.10.1918 r., absolwentkę gimnazjum Zjednoczenia Nauczycieli. Studiowała ona 2 lata na Uniwersytecie Warszawskim, wyszła za mąż i w 1938 r. wyjechała z mężem do Palestyny, dziś żyje w Izraelu.

Rodzice moi mieli w Warszawie sklep, który prowadziła moja mamusia, firma nazywała się "Bronisława". Był to bardzo ładny sklep z konfekcją. Nasza sytuacja ekonomiczna była zupełnie przyzwoita. Nie byliśmy bardzo bogaci, ale żyliśmy nieźle. Moje młodsze lata upłynęły bez żadnych problemów. Miałem wielu kolegów, na ogół Polaków. Okolica nasza była zamieszкана przez ludność polską, niewielu było Żydów, którzy mieszkali w tej okolicy. Żydzi na ogół mieszkali w tzw. dzielnicy żydowskiej, słynna była ulica Nalewki.

Ja chodziłem do szkoły polskiej na ul. Poznańskiej w Warszawie. Szkołę tą skończyłem i przez 2 lata uczyłem się w gimnazjum w Warszawie.



Na przechadzce z kolegą z gimnazjum Fredkiem Ajdelbaumem

Na tym niestety moja edukacja się skończyła, potem jak wiadomo przez 6 lat była wojna. Później miałem rozmaite przygody, bo chciałem wyjechać do Palestyny, żeby być razem z moim ojcem i siostrą. Mama moja niestety w czasie jednej z akcji w getcie w 1942 r. została schwytana przez Niemców i wywieziona do Treblinki. Od tego czasu niestety nie miałem już od niej żadnej wiadomości.

Wróćmy do początku wojny. Przed wojną, kiedy wiadomo było, że wojna na pewno wybuchnie, tak głośno wszystkie wiadomości w prasie, podjęliśmy różne przygotowania. Między innymi kopaliśmy w parkach publicznych, w ogrodach, klombach, podwórkach powyginane rowy, które miały służyć jako schrony przeciwlotnicze. Ja osobiście należałem do organizacji zwanej LOPP (Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej). Wszyscy oczekiwali na wybuch wojny, który nastąpił 1 września 1939 r.

Kiedy Niemcy rozpoczęli inwazję na Polskę tego samego dnia nad ranem zaczęli bardzo mocno bombardować Warszawę. Dużo budynków zostało uszkodzonych, było dużo zabitych i rannych, wybuchła panika. Czas płynął. My mieszkaliśmy na parterze w dość dużym mieszkaniu. Składało się ono z 3 pokoi i olbrzymiej kuchni, która była połączona z naszym sklepem przy ul. Kruczej 7.

Kuchnia była usytuowana nieco niżej i miała oddzielne wejście z bramy. Nasz dom był olbrzymi, miał 3 podwórka. Mieszkańcy naszego domu, szczególnie z wyższych pięter zebrali się w naszej kuchni. Było tam łącznie kilkadziesiąt osób.

Wszyscy sądzili, że nasza kuchnia będzie stosunkowo bezpieczna w czasie bombardowania. Szczęśliwie nasz dom nie został w ogóle uszkodzony. W kuchni ciągle przebywała masa ludzi, mama starała się nimi jakoś zająć. Miała duże garnki, w których gotowała jedzenie dla sąsiadów. Niestety w tej sytuacji szybko skończyły się zapasy i ja z chłopakami poszliśmy szukać możliwości ich uzupełnienia.

W Dolinie Szwajcarskiej, kiedy zaczęły się pożary, otworzono państwowe magazyny żywności, każdy mógł brać co tylko mógł zabrać ze sobą. Myśmy zabrali worki mąki, cukru i innych produktów i przydźwigaliśmy do domu na Kruczej. Bardzo się one potem przydały. Na Czerniakowie była fabryka ogórków konserwowych. Gdy zapaliła się ona od niemieckich bomb, ogłoszono w radio, że każdy tam może pójść i zabrać za darmo duże puszki tych ogórków. Oczywiście skorzystaliśmy z tej okazji.

Jak widać sytuacja zaopatrzeniowa była raczej trudna. Mięsa w ogóle nie było. Czasami można było zdobyć trochę mięsa z leżących zabitych koni. Pamiętam jakie smaczne było końskie mięso, które czasami jedliśmy.

Po mniej więcej tygodniu od rozpoczęcia wojny, burmistrz Warszawy ogłosił, że mężczyźni od młodzieży do osób starszych mają ewakuować się z Warszawy i zacząć marsz na wschód w kierunku Rosji. Pomyślałem sobie, że ruszę z innymi. Pożegnałem się z moją mamusią, zabrałem plecak i zacząłem iść w kierunku mostu Poniatowskiego. Zbliżając się do mostu zobaczyłem tam olbrzymie masy ludzi. Na moście było wprost czarno od nich. Pomyślałem sobie co będzie z tą całą ludnością. Wszyscy szli na piechotę. Dokąd oni dojdą, pomyślałem, kilka kilometrów na wieś. Gdzie będą mogli przenocować, co będą jeść i co dalej robić ze sobą. Stwierdziłem, że to głupi pomysł, nie idę dalej, wracam do domu.

Okazało się, że podjąłem słuszną decyzję. Ci co dalej poszli byli ostrzeliwani przez niemieckie samoloty. Wielu z nich zostało zabitych lub rannych, inni nawet doszli do rozmaitych wsi i miasteczek ale nie było tam dla nich ani miejsca do spania ani żywności. Większość wróciła w związku z tym po dużych kłopotach z powrotem do Warszawy.

Potem zaczęła się okupacja. Niemcy na ulicach łapali ludzi, którzy mieli semicki wygląd, Żydów i zmuszali ich do pracy. Złapali również i mnie. W okolicy było dużo zrujnowanych domów, między innymi niemiecka ambasada lub konsulat na ulicy Pięknej, niedaleko mojego domu. Musieliśmy pracować codziennie po kilka godzin przy porządkowaniu zniszczeń, oczywiście żadnej

zapłaty za to nie było. Trwało to kilka dni.

Potem ukazało się ogłoszenie - nakaz żeby Żydzi przygotowali się do opuszczenia aryjskiej części Warszawy. Wszyscy mieli się przenieść do dzielnicy żydowskiej, w której będzie wybudowane specjalnie dla Żydów getto. Dopuszczono możliwość wymiany mieszkań z Polakami, którzy aktualnie mieszkali na terenie, gdzie miało powstać getto. Polacy również byli zmuszeni do opuszczenia swych mieszkań i domów położonych na terenie przyszłego getta. Na mieście pojawiły się ogłoszenia z propozycjami mieszkań na wymianę.

My znaleźliśmy jakiegoś pana, który mieszkał na ulicy Ceglanej. Wprawdzie jego mieszkanie było znacznie mniejsze niż nasze, nieduże 2 pokoje, ale byliśmy zadowoleni z faktu, że w ogóle udało nam się dokonać zamiany. Przy pomocy wózka z koniem przewieźliśmy nasze graty i przenieśliśmy się do getta.

Po pewnym czasie Żydzi na polecenie Niemców zaczęli wokół getta budować mur, w którym było kilka bram. Żydom nie wolno było opuszczać getta a Polakom bez specjalnego zezwolenia nie wolno było wchodzić na jego teren. Na mieście pokazały się specjalne plakaty, że niby w getcie są rozmaite zakaźne choroby, jak tyfus i inne, i dlatego lepiej się do niego nie zbliżać.

W getcie był straszliwy bałagan. Niemcy sprowadzili tu Żydów ze wszystkich podwarszawskich miejscowości. Wszystko było przepełnione. Nie było środków czystości, zaczęły szerzyć się choroby. Biedota żydowska, która została tu przywieziona, nie miała środków do życia. Ludzie nie mieli co jeść i gdzie spać.

Potem zaczęły się kolejne akcje, w czasie których wyłapywano Żydów, wywożono ich na Umschalplatz a stamtąd do obozów.

W jednej z takich akcji, po około 2 latach pobytu w getcie, w czerwcu 1942 r., złapano moją mamę. Gdy wróciłem z pracy już jej nie było. Została wywieziona do Treblinki i niestety więcej już o niej nie słyszałem.

W getcie było coraz gorzej. Nie było co jeść. Prawie codziennie znajdowano trupy dzieci zmarłych z głodu. Zwłoki zmarłych dzieci zbierano na wózek i wywożono aby je pochować w zbiorowych mogiłach.

Zameldowałem się do pracy u Niemców. Niemcy przychodzili do getta i zabierali grupy Żydów do różnych prac. Ja byłem w jednej z nich, 30-osobowej grupie. Pracowaliśmy w Warszawie na placu Narutowicza. Przed wojną był tam dom akademicki, olbrzymi dom, było w nim może z 1.000 pokoi. Teraz stacjonowała tam niemiecka żandarmeria. Codziennie przyjeżdżali po nas do getta.

Zajmowaliśmy się wyładowywaniem węgla i koksu z wagonów kolejowych do wózków. Dwójka z nas rozładowywała 20 do 30 ton a inni rozładowywali te wózki w domu na Placu Narutowicza. Pracowaliśmy też w stajni, bo Niemcy tzw.

Schutzpolizei mieli też jednostki na koniach. Praca była ciężka ale przynajmniej dostawaliśmy tam coś do jedzenia i nawet pozwalano nam trochę żywności zabrać ze sobą do domu. Tak płynął dzień po dniu.

W 1942 r. była jedna z kolejnych akcji powtarzających się co kilka miesięcy. Niemcy nie przyjechali zabrać nas do roboty a myśmy schowali się przed łapanką w dole, który uprzednio wykopaliśmy. Na tym dole położyliśmy stare drzwi, maskując wejście i tam ukryliśmy się aby przeczekać akcję.

W czasie następnej akcji, która zaczęła się w styczniu 1943 r. jak zwykle ukryliśmy się w naszym dole, drzwi były już pokryte śniegiem. W międzyczasie pokazaliśmy żandarmowi, który po nas przyjeżdżał gdzie jest nasza kryjówka. Niemcom zależało na naszej pracy, bez nas byli zupełnie bezradni. W czasie styczniowej akcji Hans, tak się nazywał żandarm z placu Narutowicza, przyjechał opancerzonym samochodem ciężarowym do getta.

Wiedział, gdzie nas szukać. Podszedł do leżących ośnieżonych drzwi i zawołał: "To jestem ja, Hans, wychodźcie". Wyszliśmy z kryjówki. Powiedział, że przyjechał zabrać nas do pracy. Zastanawialiśmy się czy mówi prawdę, czy też chce nas wykończyć. Część naszej grupy ukryła się w schronie w domu naprzeciwko. Naradzaliśmy się między sobą nie wiedząc co robić. Czy zawołać kolegów żeby wyszli, czy udać że nie wiemy gdzie jest reszta. W końcu postanowiliśmy, że jeśli jesteśmy zgubieni to razem, my i reszta grupy. Poszliśmy do nich i oni też opuścili swoją kryjówkę. Żandarm wywiózł nas z getta, a akcja trwała wtedy stosunkowo krótko.

Wtedy też rozpoczęły się walki w getcie. Podziemne grupy z ŻOB - Żydowskiej Organizacji Bojowej podjęły walkę z Niemcami. Po strzelaninie Niemcy wycofali się chwilowo z getta. My w czasie strzelaniny zostaliśmy w Domu Akademickim na placu Narutowicza. Chodziliśmy tam do pracy do kwietnia 1943 r, do czasu kiedy wybuchło powstanie w warszawskim getcie. Od tego czasu nie brali nas już do pracy.

Mam u siebie książkę którą kilka lat temu dostałem od pana Leona Wanata. Książka nazywa się "Za murami Pawiaka". Pan Wanat był w swoim czasie pisarzem na Pawiaku i miał rozmaite listy byłych więźniów. Między innymi w tej książce są wymienione duże listy nazwisk Polaków, którzy byli w swoim czasie aresztowani przez Niemców. Duża część z nich była więziona na Pawiaku z czego bardzo duża część była poddana egzekucji w budynku naprzeciwko Pawiaka, inni na byłym placu Zamenhoffa. Inni zostali wysłani do obozów w rozmaitych kierunkach. Książka była wydana przez Książkę i Wiedzę. Było kilka jej wydań.

Po zamknięciu getta Niemcy utworzyli tam niby taką policję żydowską,

która się po niemiecku nazywała Hilfspolizei - policja pomocnicza. Między innymi mieli oni za zadanie zbierać Żydów, którzy byli w ciężkich warunkach i doprowadzać ich na Umschlagplatz, skąd wyjeżdżały wagony do obozów. W getcie było dużo ludzi żyjących w bardzo złych warunkach. Nie mieli oni gdzie mieszkać, nie mieli co jeść. Dlatego też Niemcy stosowali różne podstępny jak namówić Żydów żeby dobrowolnie zgłosili się na Umschalplatz. Między innymi przyrzekali, że jeśli się ktoś samodzielnie pojawi na Umschlagplatzu, dostanie natychmiast 2 kg chleba, marmoladę itd. Byli ludzie, którzy uwierzyli i poszli. A Niemcy cały czas kłamali. Chcieli zachęcić jak najwięcej Żydów do wywózki, a była to wywózka do śmierci.

Kiedy indziej ogłosili, że ludzie którzy mają maszynę do szycia mogą się zgłosić do tzw. szopy, takie warsztaty firmy Tebens lub inne. Była firma Schulz, byli szczotkarze wyrabiający szczotki. Było powiedziane, że jeśli ktoś zamelduje się tam do pracy to dostanie od Niemców taki dowód, tzw. Arbeitskarte, która niby będzie chroniła go przed wywózką. Dopóki będzie ją posiadał i pracował, będzie bezpieczny. Potem się okazało, że przy najbliższej akcji łapali i wywozili wszystkich, i tych co mieli i tych co nie mieli zaświadczenia pracy. Tak samo było z żydowskimi policjantami. Niemcy przyrzekli im, że nie przytrafi się nic złego zarówno im jak i ich rodzinom. Potem się okazało, że wykończyli również ich rodziny.

Przychodziły listy niby z obozu pracy w Trawninkach. Pisali je niby Żydzi. Ja sądzę, że rzeczywiście pisali to Żydzi, ale pod przymusem. W listach tych opowiadano, że mają tam doskonałe warunki i że jest tam raj na ziemi. Wszystko było organizowane tak aby ludzie sami meldowali się do tego wyjazdu.

Wspominałem już, że warunki w getcie były okropne. Dzieci umierały z głodu. Nie było żadnych warunków sanitarnych. Zaczęły się epidemie tyfusu i innych chorób. Dlatego Niemcy pisali na murach i bramach getta, że jest to teren niebezpieczny i nie wolno tam się zbliżać z powodu chorób i groźby epidemii.

Akcje wywózkowe były co kilka miesięcy. Po każdej takiej akcji Niemcy robili nową aferę, że niby to od nowa rekrutują ludzi do pracy, że tym razem będą dawali im takie porządne dowody, że zapewnią im one wolność i bezpieczeństwo. Potem okazywało się, że było to kolejne oszustwo. Ludzie nie mieli innej możliwości. Żywili się złudzeniami, że być może pomoże to im przeżyć.

Ostatnia akcja zaczęła się 19 kwietnia 1943 r. Wtedy już nie chodziliśmy do pracy. Podobnie jak poprzednio Niemcy po wejściu na teren getta zostali ostrzelani, ponieśli straty. Zmienili więc taktykę. Otoczyli całe getto dużą ilością wojska, podciągnęli artylerię i zaczęli palić dom po domu. Myśmy mieli tam niby takie różne bunkry, schrony, ale przed ogniem nie ma ratunku. W tej sytuacji

wszyscy, również ci, którzy byli w organizacjach podziemnych i walczyli z Niemcami, nie mieli innego wyjścia i poddawali się. Niemcy wszystkich zabierali na Umschlagplatz. Postanowiłem, że nie chcę być spalony, odrzuciłem broń i zszedłem na dół wraz z innymi.

Na Umschlagplatzu panowały straszne warunki. Niemcy strzelali nad głowami ludzi. Panował wielki strach. Znalazłem się w grupie, którą wybrali Niemcy, mniej więcej 30-40 osób. Postawili nas w rzędach i każdego z nas pytali jaki mamy fach, czym się zajmujemy. Ja nie miałem żadnego fachu, nie wiedziałem co powiedzieć. Ustyszałem jak człowiek który stał przede mną powiedział, że był szoferem, a inny że był mechanikiem. Pomyślałem sobie, że powiem to samo. Gdy podeszli do mnie powiedziałem, że jestem mechanikiem samochodowym. Tego szofera, mechanika, mnie i jeszcze kilku innych skierowano na bok. Całą naszą grupę Niemcy wywieźli do warsztatów kolejowych na Ost Bahn w Warszawie. Pracowaliśmy tam przez 3 miesiące przy różnym żelastwie. Było to stosunkowo niedaleko od terenu getta, słyszeliśmy z daleko strzały armatnie, widzieliśmy płomienie, szczególnie w nocy. Getto płonęło przeszło 3 miesiące.

W czasie ostatecznej likwidacji getta mała grupa Żydów wydostała się z getta kanałami. Większa część z nich poszła potem do partyzantki i niektórzy przeżyli wojnę.

Pewnego dnia zobaczyliśmy, że Niemcy z karabinami maszynowymi otoczyli baraki, w których mieszkaliśmy i wybrali z naszej grupy 30 osób. Przewieziono nas na Gęsiówkę. Z Gęsiówki byliśmy codziennie przewożeni na Dynasy, gdzie były dwa niemieckie garaże samochodowe. Jeden garaż był dla Schupo, żandarmerii niemieckiej. W drugim garażu reperowano auta Gestapo mającego główną siedzibę w Alei Szucha.

Pracowaliśmy tam razem z robotnikami Polakami. Polakom Niemcy płacili. Nam nie płacono za pracę, dostawialiśmy tylko jakieś jedzenie na Gęsiówce. Po jakimś czasie poznaliśmy się z robotnikami Polakami i ci opowiedzieli nam, że przed nami pracowali w garażach od kilku lat również Żydzi. Byli to specjaliści, znający swój fach. Potem wywiązał się spór pomiędzy Niemcami z Einsatzgruppe wywożącymi Żydów a dyrekcją garaży. Ci pierwsi postanowili zabrać na wywózkę pracujących w garażach Żydów. Dyrekcja opierała się mówiąc, że się absolutnie na to nie zgadza, nie chce stracić dobrych fachowców. Mówili, że grozi to utratą sprawności policyjnych i gestapowskich samochodów. Trwało to jakiś czas.

Wreszcie Niemcy z Einsatzgruppe postawili na swoim i zabrali Żydów z garażu. Powiedzieli dyrekcji, że nie ma żadnego problemu, dostaną nowych Żydów. Nie wiadomo co się stało z zabranymi żydowskimi mechanikami.

Prawdopodobnie pojechali do obozu zagłady. I w ten sposób w garażach pojawiliśmy się my. Zrozumiałe, że między nami tak naprawdę nie było żadnych fachowców mechaników. Jednak pomagaliśmy jak najlepiej umieliśmy pracującym tam Polakom i powoli nauczyliśmy się tego co trzeba.

Pewnego dnia powiedziano nam, że z Gęsiówki przenoszą nas na Pawiak. Tak się rzeczywiście stało. Stamtąd codziennie byliśmy przewożeni, a czasami wracaliśmy piechotą, pod eskortą, z Dynasów na Pawiak.

Na Pawiaku wielokrotnie widzieliśmy rozstrzeliwanych polskich zakładników. Niemcy co pewien czas aresztowali polską elitę, na ogół lekarzy, adwokatów i innych tego rodzaju ludzi. Na mieście wywieszano ogłoszenia, że jeśli będzie jakiś zamach na Niemca, wtedy ci zakładnicy zostaną zabici. I rzeczywiście tak oni to robili. Wielokrotnie widzieliśmy nad ranem, kiedy wyprowadzali zakładników. Byli oni w ogóle bez ubrania, tylko kalessony, oczy zakryte szmatką, ręce związane z tyłu. I słyszeliśmy, a nieraz też widzieliśmy, że naprzeciwko Pawiaka, na ulicy Pawiej w bramie ich rozstrzeliwali. Był też plac Zamenhoffa, gdzie ich rozstrzeliwano. Powtarzało się to od czasu do czasu.

Myśmy chodzili do pracy. Na Pawiaku byli różni Żydzi funkcyjni, którzy wykonywali tam różne prace. Był tam jeden blacharz z synem, nazywał się Fronenberg, miał syna Maxa. Był też jeden gość, którego nazwiska nie pamiętam, myśmy nazywali go królikarz. Hodował on na Pawiaku króliki dla Niemców, którzy brali te króliki ze sobą do domu, kiedy jechali na urlop do Niemiec. Widocznie w Niemczech było w tym czasie kiepsko z mięsem.



Spotkanie po latach w Izraelu ocalałych więźniów z Pawiaka z Leonem Wanatem autorem książki "Za murami Pawiaka"; pierwszy z prawej w drugim rzędzie Leon Kopelman

Był też jeden, który prowadził łaźnię, dlatego że w celach na Pawiaku nie było żadnych umywalk. Raz na tydzień prowadzili nas do łaźni, gdzie mogliśmy się umyć. Była tam też duża stolarnia, gdzie pracowali Żydzi. W stolarni tej, jak się później okazało, kopali tunel, chcieli wykopać dojście do kanałów miejskich.

Powstanie 1944 i wyzwolenie

Kiedy wybuchło powstanie w sierpniu 1944 r. Niemcy postanowili przenieść nas z Pawiaka na Gęsiówkę. Przed wybuchem powstania nie mieliśmy pojęcia, że ono wybuchnie. Nie mieliśmy właściwie żadnych sygnałów. Pierwszy sygnał mieliśmy kiedy Niemcy wyprowadzili nas z Pawiaka na Gęsiówkę.

My nie byliśmy pewni czy oni naprawdę chcą nas przenieść, czy też planują nas zlikwidować. Wiedzieliśmy, że w drodze między Pawiakiem a Gęsiówką był plac, gdzie Niemcy przeprowadzali egzekucje zabijając polskich więźniów. Zналиśmy cały teren i wiedzieliśmy jak przebiega droga z Pawiaka na Gęsiówkę. Umówiliśmy się między sobą, że jeśli dojdziemy do miejsca, które prowadzi na plac, na którym były egzekucje to wszyscy się tam rozbiegniemy. Każdy będzie biegł w innym kierunku, kto się będzie miał uratować, ten się uratuje. Jeżeli natomiast pójdziemy drogą na Gęsiówkę to będziemy szli spokojnie.

Okazało się, że konwojenci przyprowadzili nas na Gęsiówkę. Na Gęsiówce byli Niemcy i Żydzi greccy sprowadzeni tutaj z Auschwitz. Zajmowali się oni zbieraniem wszystkich wartościowych rzeczy z domów byłego getta, które było już zupełnie opuszczone. Wszyscy Żydzi zostali wywiezieni. Więźniowie z Auschwitz mieli na sobie pasiaste ubrania z papieru. Żydzi bardzo w nich marzli, bo pogody były rozmaite a oni nie mieli żadnego innego ubrania. Codziennie chodzili do pracy, pracowali bardzo ciężko. Niemcy maksymalnie utrudniali im życie, kazali nosić cegły w drodze do pracy. Zrozumiałe, że właściwie nie dawali im prawie nic do jedzenia. Myśmy trochę im pomagali, mieliśmy stosunkowo lepsze warunki.

Kilka dni potem, nie pamiętam dokładnie daty, Pawiak został zajęty przez Armię Krajową. Potem przyszli do nas na Gęsiówkę czołgami i piechotą i wyzwolili nas z Gęsiówki. Myśmy się bardzo ucieszyli a powstańcy zabrali do niewoli tych co nas pilnowali, Ukraińców i Niemców.

W momencie wybuchu powstania jeden z moich współwięźniów, kulawy ślusarz, wykopany wcześniej tunelem ze stolarni przeszedł kanałami do miasta. Inny mój znajomy, pan Bielecki, który dziś żyje w Izraelu, po likwidacji getta ukrywał się w bunkrze na Starówce i żył tam kilka miesięcy do czasu wyzwolenia. Kiedy wyszedł z bunkra miał już dużą brodę, bo nie było tam warunków, żeby się

ogolić.

Ocalał również mój szkolny kolega Fredek Ajdelbaum. Po likwidacji getta był przechowany z całą swoją rodziną przez Polaka p. Józefa, którego nazwiska niestety nie pamiętam. W czasie powstania 1944 r. i po jego zakończeniu ukrywał się w bunkrze do momentu wyzwolenia Warszawy przez Rosjan.

Myśmy włamali się do magazynów niemieckich. Wzięliśmy stamtąd wojskowe mundury niemieckie i broń - karabiny. Nie pamiętam dokładnie jakiego gatunku była to broń, chyba były to takie małe karabiny maszynowe, krótkie. Ubraliśmy się w niemieckie mundury - panterki. Natychmiast zgłosiliśmy się do służby w Armii Krajowej, z którą walczyliśmy później na Starym Mieście. Byliśmy w jednostce, która nazywała się batalion "Zośka". Powstańcy mieli 2 czołgi, które zdobyli na Niemcach. Byliśmy razem z żołnierzami z "Zośki" na Starówce, która była bardzo mocno ostrzeliwana przez Niemców pociskami Nebelwerfer. Były to pociski zapalające, burzące domy i wznecające pożary. Była to straszna broń.

Nie pamiętam niestety nazwisk i pseudonimów ludzi, którzy byli ze mną w plutonie "Zośki". Pamiętam tylko nazwiska Żydów z Pawiaka, którzy byli tu ze mną. Między innymi byli to Wiśnia i Filar. Filar zginął śmiercią żołnierza w Powstaniu, został odznaczony za męstwo. Pan Wiśnia został po zakończeniu wojny w Polsce, gdzie zmarł kilka lat temu. Pamiętam jednak doskonale, że był tam jeden młody porucznik, który został zraniony odłamkami szrapnela. Miał wiele ran, z których ciekła krew. Jak z kolegą złapaliśmy jakiś wózek, położyliśmy na nim rannego porucznika i zawieźliśmy do tymczasowego szpitala, który był na Starówce. Z racji posiadanej przez nas broni walczyliśmy na Starym Mieście jako żołnierze a nie sanitariusze lub łącznicy.

Ciężkie walki trwały jakiś czas. W końcu widzieliśmy, że jesteśmy otoczeni i nie ma żadnej możliwości uratować się. Pewnej nocy pod koniec września przeszliśmy kanałami kanalizacyjnymi ze Starówki na Śródmieście. Droga była, co zrozumiałe bardzo nieprzyjemna. W kanałach było ciemno, zapach był nienajlepszy, szliśmy nie bardzo wiedząc dokąd. Mieliśmy ze sobą jakiegoś przewodnika, który najprawdopodobniej na tym się znał. Trwało to kilka godzin i w końcu wyszliśmy z tego kanału w Śródmieściu. Było to jeśli sobie dobrze przypominam na Nowym Świecie przy Wareckiej, ale nie jestem tego pewien.

W Śródmieściu było zupełnie inne życie. Tam wówczas był jeszcze zupełny spokój. Niemcy wtedy jeszcze zupełnie nie atakowali Śródmieścia. Najpierw zajęli się Starówką, dopiero potem zabrali się za Śródmieście. Na Śródmieściu w międzyczasie powstały rozmaite niby biura. Zrobiono niby tymczasowy rząd i tymczasowy magistrat i rozmaite urzędy, atmosfera była bardzo dobra. Myśmy przyszli ze Starówki bardzo zmęczeni i brudni, z bronią, której w Śródmieściu było

raczej mało. Na Śródmieściu bardzo ładnie nas przyjęli.

Jako ciekawostkę pamiętam jak poszedłem do mojego domu na Kruczą 7, gdzie mieszkałem przed wojną. Spotkałem na moich przyjaciół, kolegów i sąsiadów sprzed wojny. Kiedy mnie zobaczyli bardzo się ucieszyli i powiedzieli: "Lolek, ty jeszcze żyjesz?" Trudno im było uwierzyć, że się uratowałem, żyję jeszcze i na dodatek przychodzę z bronią i w mundurze jako żołnierz Armii Krajowej.

Po zlikwidowaniu obrony Starówki zaczęli Atakować Śródmieście. Myśmy ze Śródmieścia przeszli na Czerniaków. Na Czerniakowie znowu były ciężkie walki. Niemcy zaczęli nas ostrzeliwać, bombardować i atakować czołgami. Ciekawym zdarzeniem było spotkanie z jednostką niby to Czerwonej Armii a właściwie było to Wojsko Polskie, którego żołnierze byli rekrutowani w Rosji tzw. armia Berlinga. Przepłynęli oni jako desant przez Wisłę. W końcu skoncentrowaliśmy się wszyscy w jednym miejscu, broniąc domu na Czerniakowie. Byli tam też z nami oficerowie Armii Czerwonej, którzy kiedy atakowały nas czołgi kierowali przez radiostację ogniem artylerii z Pragi aby zlikwidować te czołgi.

W końcu bronił się tam ostatni dom, w którym była też ludność cywilna. Wywiesili oni białe prześcieradło, że niby się poddajemy. W końcu wszyscy dostaliśmy się do niewoli. Wtedy Niemcy zabrali nas w Aleję Szucha, gdzie była główna komendantura Gestapo. Tam trzymano nas 2 dni. Ja obawiałem się, żeby nie rozpoznali mnie gestapowcy, którzy znali mnie z mojej pracy w garażach na Dynasach. Jakoś mi się jednak udało.

Z Alei Szucha przeprowadzono nas na Wolę do kościoła. Tam między innymi byli Żydzi z Węgier, przywiezieni swojego czasu z Auschwitz na Gęsiówkę. Dwóch z nich zwróciło się do Niemca. Powiedzieli, że oni są z Auschwitz i nie mają nic wspólnego z powstaniem. W odpowiedzi Niemiec postawił ich pod ścianą i rozstrzelał.

Z Woli przewieźli nas do Pruszkowa. W Pruszkowie były takie duże hangary, w których przeprowadzano selekcję. Jeńców z Armii Krajowej Niemcy zabierali do obozów jenieckich w Niemczech, młodych cywili zabierano do pracy w Niemczech a starszych i dzieci wysyłano w różnych kierunkach do Generalnej Guberni znajdującej się pod okupacją niemiecką.

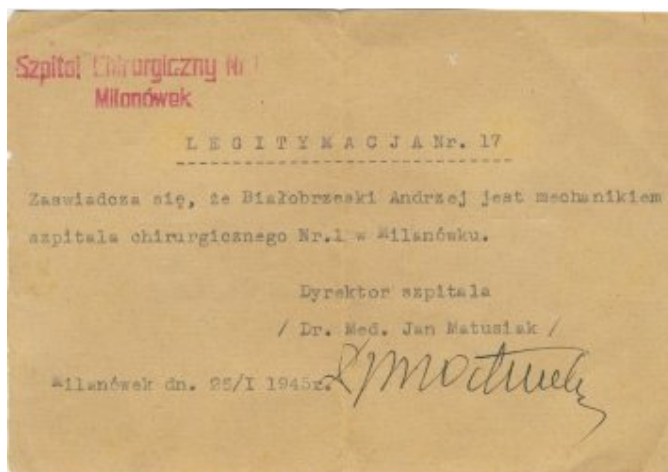
Ja czułem się niezbyt pewnie. Było pewne, że jeśli się wyda, że jestem Żydem, nie mam żadnej szansy aby się uratować. Zwróciłem się do ludzi z Armii Krajowej aby mi pomogli w miarę możliwości. Powiedzieli mi, że polskim naczelnikiem tego hangaru jest członek Armii Krajowej i możliwe, że on będzie mógł mi pomóc. Zwróciłem się do niego o pomoc. Powiedział mi, że codziennie

przed wieczorem Niemcy robią selekcję i wagonami wysyłają wszystkich młodych do Niemiec albo do pracy albo do niewoli.

Powiedział mi, że on mnie przechowa. W hangarze była taka komórka, w której miałem się schować gdy będzie selekcja. W tej komórce poza mną ukrywała się jedna pani oraz dwóch chłopaków z Armii Krajowej. Kiedy skończyła się selekcja i Niemcy wyszli naczelnik hangaru spytał mnie w jaki sposób on może mi pomóc. Powiedziałem, że nie mam żadnego dowodu osobistego. Zabrał mnie wtedy do swojego biura i pokazał mi rozmaite dowody osobiste, po niemiecku Kennkarty, i powiedział żebym wybrał sobie coś co będzie odpowiednie dla mnie. Wybrałem sobie Kennkartę na nazwisko Andrzej Biało-brzeski. I od tego dnia stałem się Andrzejem Biało-brzeskim. Z Czerniakowa przybyłem do Pruszkowa jeszcze w mundurze niemieckim. Potem przebrałem się jednak w cywilne ubranie.

Potem powiedziano mi, żebym zwrócił się do lekarki obozu, która nazywała się doktor Kiełbasińska. Była ona volksdeutschką i szukała sobie alibi żeby po wojnie nie robiono jej problemów. Jej mąż był Polakiem. Poszła ona do głównego lekarza tego obozu, Niemca, i wy dostała od niego zaświadczenie, niby to dla jakiegoś niewolnika, że jest chory na suchoty, gruźlicę. Potem powiedziała mi, że kiedy będzie jechała z Pruszkowa do swojego domu, do szpitala w Milanówku, będę mógł z nią pojechać. W ten sposób wy dostałem mnie z Pruszkowa.

I rzeczywiście tak się stało. Wywiozła mnie i przyjechaliśmy do Milanówka. W Milanówku powiedziała mi: "No, teraz jesteś wolny, możesz sobie iść dokąd zechcesz." A ja jej powiedziałem, że nie mam dokąd iść i chętnie zostałbym w szpitalu. Był to Szpital Chirurgiczny nr 1 w Milanówku. Naczelnym lekarzem szpitala i dyrektorem był pan Jan Matusiak. Mieścił się w wili, która nazywała się "Perełka". Było tam dużo rannych z powstania, którzy tam byli leczeni. Robiono im tam różne amputacje i inne zabiegi. Pracowałem tam niby jako sanitariusz ale wykonywałem też różne inne prace. Siostrami była zakonnice Polki. Personel szpitala nie wiedział, że jestem Żydem, może niektórzy się domyślali. Znałem stosunkowo dobrze język polski, tak więc ludzie z mojego otoczenia myśleli, że jestem Polakiem a nie Żydem.



Legitymacja ze szpitala w Milanówku na nazwisko Andrzej Białobrzęski

Gdy byłem już w Milanówku dowiedziałem się, nie pamiętam już w jaki sposób, pod jakim adresem przebywa ranny na Starówce porucznik, o którym wcześniej opowiadałem. Pojechałem do niego i opowiedziałem mu kim jestem i gdzie się spotkaliśmy. On poradził mi, żebym udał się do Armii Krajowej w Kielcach. Dał mi nawet list polecający, w którym napisał, że jestem dobrym i odważnym żołnierzem mimo ... mojżeszowego pochodzenia. Nie bardzo podobał mi się ostatni fragment listu. Postanowiłem nie jechać do Kielc i pozostałem w Milanówku.

Pewnego dnia, gdy byłem w szpitalu zwrócono się do mnie o pomoc. Powiedziano, że leży tu jakiś jeńiec, chyba wojskowy, Francuz. Ponieważ znałem trochę języki poproszono abym się z nim dogadał. Poprosiłem, żeby zostawiono mnie z nim sam na sam w pokoju. Kiedy tak się stało poznałem tego niby Francuza. Był to jeden z Żydów greckich, którego znałem jeszcze z Gęsiówki. Nazywał się Ino Varsano a przedstawiał się jako Francuz Jean Vearsaneux. Pytałem go co z nim jest, czy rzeczywiście jest ranny. Powiedział mi, że jest zdrowy i żeby mu pomóc.

Pomyślałem, co mam z nim zrobić. W końcu postanowiłem, że wyślę go na wieś położoną 14 kilometrów za Milanówkiem, gdzie szpital miał dom dla rekonwalescentów. Wysyłano tam wszystkich rekonwalescentów, którzy byli prawie zdrowi po szpitalu. Powiedziałem, że trzeba go tam wysłać bo musi porządnie odpocząć. Jedynym środkiem komunikacji między szpitalem a domem na wsi był wózek z koniem. Co tydzień wysyłaliśmy ze szpitala żywność do wiejskiego domku. Tego dnia "Francuz" pojechał na tym wózku z produktami i pozostał w domku prawie do końca wojny. Ja od czasu do czasu przysyłałem mu

za pośrednictwem furmana ukłony. Nie miałem potem od niego żadnej wiadomości.

W styczniu była ofensywa Rosjan. Wyzwolili oni Milanówek i tą część Polski w drodze do Niemiec. Natychmiast ruszyłem piechotą do Warszawy. Było to mniej więcej 30 kilometrów, jak sędzę. Dotarłem na Pragę, bo Warszawa lewobrzeżna była zupełnie zburzona. Na Pradze było wszystko tak jak przedtem. Spotkałem tam innych ocalonych Żydów. Była tam już gmina żydowska. Mieli biuro i spisy uratowanych. Spotkałem tam innych uratowanych i żyliśmy na Pradze do maja 1945 roku, kiedy skończyła się wojna.



Leon Kopelman w Warszawie po wyzwoleniu 1945 r.

Na Pradze po wyzwoleniu spotkałem mojego znajomego Greko-Francuza. W międzyczasie nauczył się już trochę mówić po polsku (Żydzi mają na ogół zdolności językowe) i pracował jako szofer w fabryce czekolady Wedla.

Dalsze losy

Mniej więcej na początku czerwca 1945 r. ja z moim kolegą, Meir Bielickim, ruszyliśmy w drogę do Palestyny. Najpierw pojechaliśmy koleją w kierunku Czechosłowacji. Kiedyśmy dojechali do granicy czesko-polskiej, musieliśmy wysiąść z polskiego pociągu. Przepytywano nas gdzie się wybieramy. Z pomocą oficera rosyjskiego, który powiedział, że jesteśmy z nim, udało nam się przesiąść do pociągu czeskiego. Tym pociągiem dojechaliśmy do Pragi.

W Pradze był obóz, gdzie zbierali się wszyscy uchodźcy, którzy chcieli

jechać w rozmaitych kierunkach do swojej ojczyzny. Myśmy powiedzieli, że jedziemy do Niemiec. Ale w Pradze ci, którzy chcieli jechać do Niemiec, musieli przejść denazyfikację. Badali czy to są rzeczywiście Niemcy, a jeśli tak to szukali między nimi SS-manów, których zabierali. Nie chcieliśmy iść do tego obozu.

Postanowiliśmy więc pojechać koleją do Pilzna. W Pilźnie byli już Amerykanie, a w Pradze Rosjanie. Były wtedy 4 strefy podzielone między Rosjanami, Amerykanami, Anglikami i Francuzami. Pojechaliśmy koleją. Doradzono nam, że gdy przyjdzie amerykańska kontrola woskowa, na pytanie czy jesteście Czechami trzeba odpowiedzieć "Ano" (tak). I tak się stało. Dojechaliśmy do Pilzna. Tam też był obóz.

Spotkaliśmy tam żołnierzy amerykańskim, z którymi się zgodaliśmy i którzy zabrali nas w kierunku Austrii. W Austrii dotarliśmy do Salzburga. W Salzburgu był obóz. Po krótkim w nim pobycie wynajęliśmy mieszkanie i zatrzymaliśmy się tam mniej więcej na miesiąc. Szukaliśmy sposobu jak można przedostać się do Włoch a stamtąd znaleźć ewentualnie drogę do Palestyny.

Spotkaliśmy tam jakiegoś niby przewodnika, który miał na przeprowadzić z Austrii przez teren okupowany przez Francuzów. Poprowadził nas a potem opuścił w górach i uciekł. Jakimś cudem udało nam się dostać do Innsbrucku, gdzie była już francuska strefa okupacyjna. W Innsbrucku nawiązaliśmy jakieś kontakty z wojskowymi. Dostaliśmy mundury amerykańskie, niby to jako przedstawiciele UNRA. Były to mundury wojskowe ale bez żadnych dystynkcji. W tych mundurach udało się nam przejść przez przełęcz Brenner i stamtąd dalej dojechaliśmy do Mediolanu.

W Mediolanie było schronisko dla Żydów, którzy uratowali się w czasie wojny. Mieściło się ono przy via Unione 5, gdzie przedtem był komisariat policji. Byliśmy tam tylko kilka dni. Potem wynajęliśmy pokój niedaleko Piazza di Duomo. Był to w zasadzie taki wyższy strych, trochę zrujnowany w czasie bombardowania miasta w czasie wojny. Został on potem wyremontowany i prezentował się zupełnie przyzwoicie. Pokazywała nam go właścicielka, jak się potem okazało, Niemka z pochodzenia.

W trakcie oględzin lokalu wydarzyła się śmieszna historia. Pokój nie był jeszcze całkowicie uprzątnięty po remoncie, leżało tam na podłodze trochę drewna. Dyskutując z kolegą po polsku powiedziałem: "Te deski trzeba będzie stąd zabrać". Słuchająca nas pilnie właścicielka wykazała pewne zdenerwowanie. Potem okazało się, że z naszej rozmowy wyłowiła słowo "Tedeschi" (fonetycznie "Tedeski") co po włosku znaczy "Niemcy". Pomyślała, że mamy wobec niej jakieś złe zamiary z racji tego, że jest Niemką. Wy tłumaczyłem jej na czym polega nieporozumienie i potem spokojnie już dobiliśmy targu.

Zatrzymaliśmy się tam na kilka tygodni. Cały czas szukaliśmy sposobu jak dostać się do Palestyny. Dowiedzieliśmy się, że istnieje organizacja, która pomaga w tym zakresie Żydom. Z organizacją tą współpracowali żołnierze żydowskiej brygady palestyńskiej wchodzącej w skład armii brytyjskiej. W Mediolanie działali też przedstawiciele UNRRA, amerykańskiej instytucji pomagającej uchodźcom, w tym również Żydom, którzy nie radzili sobie w nowej rzeczywistości.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że jest organizowany kibuc. Była to forma organizacyjna podobna do sowieckiego kołchozu. Zadaniem kibucu było zgrupowanie Żydów planujących wyjazd do Palestyny. Ten kibuc rekrutował się z byłych partyzantów i byłych żołnierzy gett. My dwaj również się do niego zapisaliśmy jako żołnierze warszawskiego getta. Całą grupą wyjechaliśmy potem do miejscowości Aqua Santa (Święta Woda). W miejscowości tej były kąpieliska siarkowe, nad całą okolicą unosił się charakterystyczny zapach.

Zaczęliśmy tam przygotowania do wyjazdu. Między innymi mieliśmy też przysposobienie wojskowe prowadzone przez żołnierzy brygady palestyńskiej. Poinformowano nas, że zostaniemy przetransportowani statkiem. W ładowni statku, który był statkiem handlowym, będą zainstalowane hamaki. Umożliwi to zabranie stosunkowo dużej ilości ludzi w czasie jednego rejsu.

Pewnego dnia zawiadomiono nas, że następnego dnia rano wyruszymy do punktu koncentracji. Rzeczywiście zostaliśmy przewiezieni wojskowymi ciężarówkami do miejscowości Ascoli di Piceno. Nasza grupa liczyła kilkadziesiąt osób, ale zaczęto też tam zwozić Żydów z innych kibuców i nie tylko. Łącznie zebrało się tam ponad 1.000 osób.

Pewnego dnia organizatorzy wyprawy zabrali nam wszystkie dokumenty jakie mieliśmy ze sobą: dowody osobiste, rozmaite legitymacje, zdjęcia itd. Nasza wyprawa była w zasadzie nielegalna. Powiedziano nam, że w razie wpadki lepiej będzie jeżeli nie będzie żadnych dowodów na to skąd i kiedy wyjechaliśmy.

Po pewnym czasie, pewnego poranka przyjechało do obozu 40 wojskowych ciężarówek. Na każdą z nich zapakowano około 25 osób. Wśród nas poza mężczyznami były również dzieci i kobiety, niektóre ciężarne. Ciężarówki były szczelnie zakryte brezentem, mieliśmy zachować pełną ciszę.

Potem ciężarówki dotarły do punktu kontrolnego (check point) gdzie je zatrzymało. Po pewnym czasie ruszyły dalej. Jak się później dowiedziałem na punkt kontrolny przyjechał Jeep z wysokim oficerem, chyba majorem, żandarmerii wojskowej tzw. Military Police. Nie wiem jak załatwiono sprawę z majorem, czy dostał łapówkę. W każdym razie zwolniono nas i kolumna ruszyła dalej. Nie wiedzieliśmy gdzie jedziemy.

Przed wieczorem dotarliśmy na miejsce. Jak się okazało był to mały port rybacki, który nazywał się La Spezia. Kiedy zaczęliśmy wyładowywać się z ciężarówek, zauważyliśmy że dookoła jest mnóstwo włoskich policjantów. Przy brzegu stał zakotwiczony niewielki statek o nazwie "Fede", który miał nas przewieźć do Palestyny. Na wybrzeżu stał samochód pancerny z lufą armatki wycelowaną w statek. Policjanci powiedzieli nam, że jesteśmy aresztowani i nie wolno nam opuścić miejscowości. Ponieważ nie mieliśmy żadnej możliwości zakwaterowania na lądzie pozwolono nam wejść na statek aby przenoćować.



Leon Kopelman przy statku "Fede"

Jak wspomniałem wcześniej, w ładowni statku urządzone były "sypialnie". Na specjalnym "rusztowaniu" z rur było zawieszono na linach mnóstwo brezentowych hamaków, zawieszonych jeden nad drugim, oddalonych jeden od drugiego o 25-30 cm. Spędziliśmy noc jak sardynki w puszcze. Rano znów wyszliśmy do portu. Okazało się, że nie ma tu w zasadzie sanitariatów ani kranów z wodą.

Zacząła się kampania prasowa. Prasa włoska twierdziła, że zatrzymano grupę faszystów, którzy chcieli uciekać do Ameryki Południowej. Inne gazety pisały, że są to Żydzi, którzy zostali zwolnieni z niemieckich obozów koncentracyjnych i chcą jechać do Palestyny. W wyniku rozgłosu o sprawie dowiedzieli się Anglicy. Ich przedstawiciele przyjechali do La Spezia i oświadczyli, że absolutnie nie możemy wyjechać do Palestyny. Na wyjazd niezbędny był tzw. certyfikat wydawany przez Anglików. Należy pamiętać, że w tym czasie Palestyna

była pod mandatem brytyjskim.

Pewnego dnia przyjechała do La Spezia duża jednostka marynarki brytyjskiej. Anglicy chcieli zająć nasz statek a nas przewieźć z powrotem do Niemiec. W odpowiedzi cała nasza ludność zaczęła wokół Anglików tańczyć żydowski taniec, który nazywał się hora. Tańcząc w koło otoczyliśmy żołnierzy brytyjskich. Byliśmy w stanie desperacji. Anglicy nie wiedzieli jak się zachować. W końcu wydano odpowiednie rozkazy i żołnierze wycofali się.

Czas płynął. Po kilku dniach przyjechał do nas jakiś cywil, był to chyba człowiek z policji angielskiej. Poszedł przekonywać kapitana naszego statku abyśmy dobrowolnie zgodzili się wrócić do Niemiec. Oczywiście w żadnym wypadku nie wchodziło to w rachubę. Niedawno wydostaliśmy się żywi z tego piekła, nie chcieliśmy tam wracać. Naszym celem była nasza ojczyzna Palestyna.

Szef naszej grupy, nie pamiętam już jak się nazywał, wybrał z naszej grupy dziesiątkę byłych żołnierzy. Znalazłem się też w tej grupie. Zapowiedział nam, że jeśli Anglik będzie schodził ze statku a on pokaże wymowny gest na gardle, mamy po poderznąć gardło i wyrzucić za burtę do wody. W napięciu czekaliśmy na dalszy rozwój sytuacji. Anglik wyszedł, ale umówionego sygnału nie było. Policjant bezpiecznie wyszedł za bramę obozu.

Po kilku dniach rozpoczęliśmy strajk głodowy. Na bramie portu wywiesiliśmy duży transparent z białego płótna, na którym napisano w trzech językach: po angielsku, włosku i hebrajsku, że jest to strajk głodowy, w którym bierze udział 1014 osób i że będziemy głodować do śmierci. Na transparencie był zegar, na którym co godzinę przesuwaliśmy wskazówkę. W kilkudziesięciu godzinach strajku ludzie byli już bardzo wyczerpani, niektórzy mdleli. Należy pamiętać, że wśród nas były kobiety w ciąży. Strajk trwał ponad 72 godziny.

Akcja była przez prasę nagłośniona na cały świat. Wybuchł potężny skandal. W Jerozolimie do naszej akcji przyłączyła się Agencja Żydowska - załączek przyszłego rządu państwa Izrael. Jej przedstawiciele usiedli na krzesłach przed budynkiem Agencji i w geście solidarności głodowali razem z nami. Zrobiło to dodatkowe wrażenie i z pewnością przyczyniło się do pomyślnego rozwiązania naszych problemów.

Do La Spezia przyjechał sekretarz Labour Party, ówczesnej partii rządzącej, Harold Lasky. On również próbował nas przekonać byśmy wrócili do Niemiec gdzie będziemy mieli zapewnione dobre warunki a on w międzyczasie będzie się starał o certyfikaty wyjazdowe dla nas. Kategorycznie odmówiliśmy przyjęcia jego warunków. Pan Lasky wrócił do Anglii i poinformował rząd o zastałej sytuacji. Przez cały czas trwała intensywna kampania prasowa.

W końcu dostaliśmy wiadomość, że przyznano nam 1014 certyfikatów wyjazdowych do Palestyny. Przybyli do portu przedstawiciele Wielkiej Brytanii. Oświadczyli, że stojący przy nabrzeżu statek jest stanowczo za mały aby przewieźć tyle osób i że jest niezbędny co najmniej drugi statek. Nasza organizacja przyprowadziła dodatkowy statek. Tymi dwoma statkami wyruszyliśmy wreszcie w podróż do Palestyny. Pierwszy statek nazywał się "Fede", potem nazwano go "Dov Hoz" a drugi nazywał się "Fenice", nazwano go "Eliau Golomb". W porcie La Spezia przebywaliśmy kilka tygodni.

Podróż trwała 10 dni. Na statku była żywność zgromadzona przez żołnierzy brygady palestyńskiej. Dzielili się oni z nami swoimi racjami żywnościowymi. Po drodze spotkaliśmy ogromne fale. Pamiętam, że koło Krety już prawie wszyscy mieli chorobę morską. Tylko kilku z nas, między innymi ja, trzymało fason. Dawaliśmy chorującym wodę do picia, była to jedyna pomoc, której mogliśmy udzielić.

W końcu, chyba 20 maja 1946 r. dotarliśmy do Palestyny. Zeszliśmy na ląd w porcie Haifa. Czekał tam na mnie ojciec i siostra. Niestety nie było z nami matki, zginęła w obozie w Treblince. Ojciec pozostał wdowcem, miał bardzo małe mieszkanie i warsztat w Jerozolimie. W tej sytuacji na pewien czas zatrzymałem się u mojej siostry, która mieszkała w Telawiwie.



Leon Kopelman zmobilizowany do armii izraelskiej w 1948 r.

Pewnego dnia na głównej ulicy w Telawiwie, nazywającej się Alenbi zobaczyłem dużą limuzynę amerykańskiej produkcji, z otwartym dachem. Za kierownicą siedział mój stary znajomy Grek-Francuz z Milanówka. Na limuzynie była polska chorągiewka i litery CD (korpus dyplomatyczny). Zwróciłem się do polskiej ambasady i spytałem czy on w niej pracuje. Okazało się, że tak, pełni funkcję niby szofera. Spotkałem się z nim, byłem wtedy w wojsku. Nawiązaliśmy towarzyskie stosunki.

Okazało się, że planuje on wyemigrować do Kanady ze swoją narzeczoną, która potem została jego żoną. Przed wyjazdem zaproponował mi, że przekaże mi swoją aktualną posadę. Pracował w dużej firmie samochodowej, której właścicielem był brat jego ciotki. Firma nazywała się Karaso. W rezultacie pracowałem w tej firmie 12 lat a potem otworzyłem własny interes. Moja firma zajmowała się importem części samochodowych.

Potem wyjechałem do Ameryki poszukując odpowiednich części samochodowych dla mojej firmy. Chciałem tam załatwić sobie różne przedstawicielstwa firm amerykańskich, co mi się naprawdę udało. Byłem również w podobnym celu w rozmaitych krajach w Europie. Wszystko to spowodowało, że firma moja rozwinęła się, interes szedł bardzo dobrze.

Teraz od kilku lat jestem na emeryturze. Mam troje dzieci - dwóch synów i córkę. Doczekałem się dziewięciorga wnucząt - 4 chłopców i 5 dziewczynek.

Nie czuję nienawiści do niemieckiego narodu za to co uczynił mnie i moim rodakom. Nie czuję nienawiści a raczej litość za to co uczynił Niemcom szalony i okrutny wariat. Oni również zapłacili wysoką cenę za lata faszystów. Potem ciężką pracą odbudowali swój zniszczony wojną kraj. Chciałbym jedynie aby nie zostały wymazane z pamięci ludzkości te straszne lata pogardy wobec człowieka.

Leon

Kopelman



Leon Kopelman
ur. 26.04.1924 r w Warszawie
ocalony z getta warszawskiego
żołnierz-ochotnik batalionu "Zośka"
zgrupowania AK "Radosław"